

Wszedłem do salonu, bo czułem, że coś jest nie tak. Siedział jak zwykle w swoim fotelu z wypisanym na twarzy zadowoleniem. Uśmiechał się nieznacznie, jakby z całych sił panował nad mięśniami twarzy, hamując szeroki, zniewalający uśmiech. Za to jego oczy błyszczały nienaturalnie, co sprawiło, że poczułem dreszcz.

– Co zrobiłeś? – Wiedziałem, że coś zrobił. Podświadomie wiedziałem co.

– Ona jest na dole. Przywiozłem ci ją, braciszku. – Błysnął białymi zębami i wyglądał naprawdę przerażająco.

– Jezu... – Wziąłem głęboki wdech. – Co ty mówisz?

– Zakończymy to razem. Zróbmy to razem, jak zawsze.

– Kto ci kazał to robić? Dlaczego zawsze musisz wszystko popsuć?! – warknąłem ze złością.

Jego brew się uniosła, a usta wygięły w pogardliwym grymasie.

– Kto mi kazał? A jak myślisz? – Przewrócił oczami. – Poza tym ona i tak już wie. Zobacz, co znalazłem. – Podał mi jakąś kartkę, zapisaną i pokreśloną. – Od początku wiedziałem, że sprytna z niej bestia. Wprost wymarzona. – Obliznął usta i nadal uśmiechał się szeroko, a ja miałem ochotę zetrzeć mu ten uśmiech z twarzy. Miałem ochotę jego całego zetrzeć w proch.

Spojrzałem na zapiski, poczynione jej ręką, i zagryzłem wargi.

Tak.

Ona była bardzo mądra. To prawda.

– Idę do niej. A ty zostań tutaj. – Wskazałem na niego ostrzegawczo palcem.

– Nie mam zamiaru się stąd ruszyć. – Rozparł się wygodniej w fotelu. – Ale zastanów się, co zrobimy z naszym detektywem amatorem, bo wkrótce zaczną go szukać.

Wyszedłem z niewielkiego salonu i udałem się na dół, do niskich pomieszczeń, umiejscowionych tuż obok garażu i piwnicy. Zerknąłem na prawo, gdzie zamknęliśmy jego. Skręciłem w lewo. Otworzyłem drzwi. W małym, zagraconym pokoiku, na niskiej leżance ujrzałem ją. Poczułem, że zaczynam mieć problem z oddychaniem, tak wielka żałość mnie ogarnęła. A jednocześnie złość. Na niego. I na siebie samego. Bo przecież... tego właśnie chciałem. Od samego początku. Tylko czy przypuszczałem, że moje martwe serce zacznie bić właśnie dla niej? Przecież ofiarowane zostało już dawno naszej Pani, której służyliśmy my i nasi rodzice. Nie dopuszczałem myśli o tym, że mogłoby stać się inaczej. A jednak się stało. I teraz... chciałem wyć z bólu, który ogarniał mnie całego, gdy patrzyłem na jej długie włosy rozrzucone na ciemnej kapie, na dłonie, które całowałem, pieściłem, które pieściły mnie.

Uklęknąłem przy niej i odgarnąłem włosy z policzka. Oddychała równomiernie. Zdawałem sobie sprawę, że wkrótce się obudzi. I kompletnie nie wiedziałem, co wtedy zrobić. Pochyliłem się i wtuliłem twarz w jej włosy. Wziąłem głęboki wdech, jej zapach dotarł do najgłębszych zakamarków mojego ciała. Tak samo jak ona sama. Przenikała mnie na wskroś, była we mnie, w każdej komórce, w każdym drgnieniu serca, w każdej myśli przemierzającej mój umysł. Była mną, a ja byłem nią. Tak miało być. Staliśmy się jednością, bo mnie pokochała. A ja pokochałem ją. Nigdy nie byłem uczony miłości, od najmłodszych lat podporządkowany życiu według zasad stworzonych przez naszego Pana. Służyć miałem tylko naszej Pani i jej oddawać cześć, poprzez składanie ofiar i wzbogacanie własnego geniuszu, z którym się urodziłem. Tak więc kochałem miłością poddańczą, kochałem miłością braterską, kochałem miłością nie syna, ale ucznia. Potem... przez chwilę kochałem tak naprawdę, ale zniszczyłem to, składając tę pierwszą niedojrzałą miłość w ofierze mojej jedynej Pani.

A teraz... to, co mnie ogarnęło, kiedy ją poznałem... Nie mogłem ani tego nazwać, ani intuicyjnie określić. To było coś tak nieoczekiwanego, potężnego, nieprawdopodobnego, że czułem się potwornie zagubiony, niepewny. Bo dlaczego nikt wcześniej nie powiedział mi, że tak może być? Że w moim genialnym umyśle znajdzie się miejsce na takie odczucia, na

takie wrażenia?! Przecież wcześniej wiedziałem, że muszą być ofiary, aby moja powinność została spełniona. A teraz... myślałem jedynie o tym, żeby zabrać ją z tego domu i uciec tam, gdzie będziemy tylko ja, ona i to, co istnieje między nami.

Położyłem się koło niej i objąłem ramieniem jej szczupłe ciało, które przecież tak dobrze znałem. I uwielbiałem. Wtedy nagle uświadomiłem sobie coś bardzo istotnego. To przecież ona stała się teraz moją Panią. Moją boginią. Moim celem życia. Połówką mojego serca. Częścią mojego umysłu. To ją musiałem wielbić. To ją musiałem czcić. To ją musiałem kochać. I to ją musiałem chronić.

Poczułem gorące łzy, które zaczęły spływać mi po policzku i po chwili zagłębiły się w jej gęstych włosach. Przytuliłem ją jeszcze mocniej i zacząłem szeptać cicho słowa, które jak jedностajna mantra grały w mojej głowie:

– Jesteś moją boginią, jesteś moją boginią, jesteś moją boginią...

Nagle ona jakby zeszywniała i gdy uniosłem głowę, spojrzałem wprost w jej niebieskie oczy. Dostrzegłem w nich strach, co mnie zabolowało, tak jak uderzenie pięścią w żołądek. Ale jednocześnie dostrzegłem w nich żal i... Boże! Miłość! Tak! Miłość! Co sprawiło, że moje skatowane, kamienne serce skurczyło się jeszcze bardziej. W niemym bólu, rozpacz i żałości. I wtedy ona, załamującym się głosem, szepnęła:

– Mateusz... Co ty zrobiłeś...?

*Przeszłość... Nie istnieje. Jest tylko to, co teraz, i to, co będzie. Abyśmy mogli narodzić się na nowo.*